



„1612” to w pewnym sensie plagiat „Conana Barbarzyńcy” Johna Miliusa. W tym ostatnim bohater (Schwarzenegger) jako dziecko traci w najeździe na rodzinne siło matkę, zabita własnoręcznie przez przywódcę hordy najeźdźców (James Earl Jones). Potem mści się na wszelkie sposoby – a to przenikając jako „wyznawca” do obozu wroga, a to w końcu własnoręcznie katrując wzmiankowany szwarczarakter ciosami miecza.

W „1612” główny bohater (Pietr Kisłow) jako chłopiec traci matkę zarąbaną przez polskiego hetmana Kibowskiego (Żebrowski) – w sumie nie bardzo wiadomo dlaczego, po prostu ciapniętą szablą mimochodem, bo przebiegała właśnie drogę przed wierzchowcem Polaka; nieistotne zresztą dlaczego, ważne, że na oczach chłopca. Potem bohater podszywa się pod hiszpańskiego „kawalieros”, służąc w obozie hetmana, aby na koniec zadźgać „interwenta” rapierem.

W sumie więc ta sama fabuła tyle, że w pierwszym oglądamy facetów z bliżej nieokreślonej przeszłości odzianych w zwierzęce skóry, a w drugim polskich husarzy z jednej, a rosyjskich włościan z drugiej strony. I tu też pojawia się mały problem. Zarówno reżyser filmu (Władimir

Chotinienko), jak i główny producent (kochany Nikita Michałkow) nie poszli na całość. Dość niekonsekwentnie pokazali konkretną narodowość najeżdżającą „Matuszkę Rosję”.

Wykorzystali konkretne wydarzenia, często z dużą dbałością o detale (Pierwszy Samozwaniec – z aktorem dobranym wyraźnie na podstawie zachowanych wizerunków cara, śmierć rodziny Godunowa, emitowanie w tle podpisów umiejscawiających poszczególne sceny w czasie i przestrzeni, pieczołowicie odtworzone umundurowanie i ekwipunek walczących stron itd.).

Z drugiej strony, nie zdecydowali się nazwać wielu rzeczy po imieniu. Szwarcbohater to jakiś „wyssany z palca” polski hetman Kibowski, taki swego rodzaju baron Munchausen, tyle, że stojący na czele całkiem już „realnej” husarii. Rosyjska widownia już w dniu premiery miała pretensje o „poprawność polityczną”, w duchu której zrobiono film. Polscy widzowie stosunkowo zgodnie okrzyknęli „1612” mianem produkcji antypolskiej na długo przed jego upowszechnieniem. W ten sposób obie strony, polska i rosyjska, pozostaną na bank zawiedzione, choć każda z przeciwnego sobie powodu.

PLUSY FILMU:

– to co przykuwa uwagę niemal od pierwszej chwili to naprawdę przyzwoita ścieżka dźwiękowa. Soundtrack z filmu łatwo wpada w ucho i klimatycznie pasuje do okresu, w którym osadzono akcję filmu.

– kostiumy i choreografia (Sergiej Strucziw Wiktorowicz i Natalia Dżubienko) oraz charakteryzacja (Olga Matwiejczuk) dają niezły efekt wizualny. Całość filmowano w bardzo dobrze dobranej scenerii. Dziki las przypomina mi trochę magicznie sfilmowaną litewską puszcę w naszym „Panu Tadeuszu” Wajdy. Całość ogólnie mocno klimatyczna.

– efekty specjalne – widać, że w paru ujęciach się postarano. Odpowiedzialny za nie Piotr Gorszenin świetnie pokierował swoim zespołem, co widać zwłaszcza w finałowej sekwencji nieudanego ataku husarzy przez bramę grodu kniazia, scenach nauki szermierki z udziałem ducha, czy pomnażanych komputerowo zastępach atakującej piechoty cudzoziemskiej.

– rozmach – patrz jak wyżej; sceny batalistyczne, ostrzału artylerii i jego efektów robią wrażenie mimo chwilami dużej tendencyjności. Pamiętacie krew chlapiącą obiektyw kamery w scenie walki z „Braveheart” Mela Gibsona? Tu mamy coś podobnego z adekwatnym skutkiem.

Sceneria zasadzki na moście umiejscowiona w pierwszej części filmu powinna zadowolić większość sympatyków scen bitewnych (może poza epizodem z kusznikiem-płetwonurkiem prążącym strzałami spod wody; łąza się w oku kręci, bo człowiek z miejsca sobie przypomina „Zaginionego w akcji” stwierdzając, że jednak Chuck Norris strzelał spod wody jakby lepiej).

– dobra gra aktorów, niestety tylko drugoplanowych. Ramon Łanga (? czort znajet czy dobrze przełożyłem) jest bezkonkurencyjny mimo, że pojawia się incydentalnie, głównie w pierwszych scenach filmu, grając hiszpańskiego najemnika (zresztą aktor ściągnięty z Hiszpanii, a nie Rosjanin udający takowego), a potem postać ducha. Jest świetny! Nieźle wypada też Artur Stolianinow grający w filmie Tatar, przy czym prywatnie uważam, że z niego optycznie taki Tatar, jak ze mnie Eskimos.

MINUSY FILMU:

– scenariusz – autorstwa Aliewa Tagiewicza to jedna ze słabszych stron filmu. Naiwny i tendencyjny. Jest chwilami tak naiwny, że „przytłacza” co bardziej krytycznego widza. Jakbym słuchał apelów Nelli Rokity. Pomijam już te duchy, koziorożce i rybki mówiące ludzkim głosem, choć można by było te całe menażerie wpleść w akcję bardziej z głową (patrz choćby „Highlander”, choć ten ostatni to film fantasy, a „1612” jakby jednak mocniej osadzono w realiach konkretnego miejsca i czasu). Główny bohater, chłop katowany i głodzony jako niewolnik, nagle uczony fechtunku przez ducha wyrasta na świetnego fehmistrza, który z miejsca toczy pojedynki na białą broń z trzema przeciwnikami naraz, czy pokonuje „żyjącego z robienia szablą” przez całe życie hetmana-zabijakę. Nie wiadomo skąd i jak po jednej rozmowie z kolegą Tatarem, potrafi konstruować „skórzaną” armatę oraz amunicję do niej i to amunicję kilku typów ze śmiertelnymi dodatkami. Ze wszystkiego natomiast strzela z taką precyzją, że snajper towarzysz Zajcew przy nim to Mały Kazio.

W końcowej scenie wyboru nowego cara dowiadujemy się, że zarówno bojarzy debatujący nad obraniem nowego władcy, jak i wysoko urodzony książę na informację, że carem ma zostać nisko urodzony chłop-gołodupiec nie dostają choćby tiku oka. A przecież ten okres to właśnie eskalacja pogorszenia sytuacji chłopstwa w Państwie Moskiewskim, kiedy to w 1581 wprowadzono tzw. lata zapowiednie, z tytułu czego chłopci nie mogli już nawet po spłaceniu ewentualnych powinności opuścić swych „panów”.

Może i jako widz Polak jestem nieobiektywnym sędzią, dlatego nie będę dyskutował nad tym jak bardzo i czy w ogóle tendencyjnie przedstawiono tam polskie wojska inwazyjne. Wiem

jedno – fakty podają, że w każdej polskiej inwazji na Moskwę atakującym towarzyszyły całkiem spore siły rosyjskie wspierające „obce barwy klubowe”. Tu wszyscy Rosjanie murem stoją za kniaziem. Nie ma tam też nawet jednego Kozaka z jednostek posiłkujących Polaków (a przecież każda wyprawa na Moskwę w tym okresie odbywała się przy ich czynnym wsparciu). Jeśli nie jest to zamierzone „oszczędzanie” bratniej nacji, to pewnie nie ma po nich śladu dlatego, że wszyscy Kozacy-statysty zatrudnieni zostali przy zapowiadanej na jesień 2008 kolejnej superprodukcji „Taras Bulba”, gdzie, jak się domyślacie, Polacy występują także jako zasłużeni reprezentanci „ciemnych stron mocy”.

W filmie za to aż roi się od formacji cudzoziemskich wszelkiego autoramentu (pikiniery, muszkietierowie, puszkarze itp.). Gdybym chciał formułować teorie spiskowe, to bym pomyślał, że po prostu lepiej pasują do podkreślenia „obcego charakteru inwazji interwentów” niż tacy na ten przykład Kozacy o Rosjanach „renegatach” nie wspominając. W filmie brak także zupełnie lisowczyków, którzy jak wiemy szaleli w tamtym rejonie jeszcze długo po rozbiciu ostatniego samozwańca i Kozaków Zaruckiego. Polska kawaleria to w 100% husarze. W końcowej scenie szarży podczas bitwy atakują wraz z husarią (jednocześnie, wymieszani w szeregu podczas szarży!) jacyś „strzelcy konni” w morionach, cudzoziemskiego najwyraźniej autoramentu, ale, że w galopie z siodła prowadzą ogień z długich arkebuzów, to z litości pominę ich milczeniem.

Gdy podczas ogłaszania rozporządzeń polskich okupantów jeden ze słuchającego rosyjskiego pospólstwa odważnie raz za razem, jak w demokratycznym audytorium, krytykuje na głos wygłaszaną treść – w oka mgnieniu trzech „goryli” odciąga biedaka na bok i wrywa mu gładko język (a wszystko pokazane w szczegółach: łapia, wrywają, krew tryska, facet zawodzi itd. – całość w zbliżeniu). Kiedy w sekwencji zapodanej widzowi godzinę później w adekwatnej sytuacji kniaź nawołujący do walki z polską inwazją słyszy podobną krytykę ze strony wiejskiego „prostaczka” – jakbyśmy znaleźli się na innej planecie. Kniaź podchodzi, pyta „prostaczka” o imię i kładąc mu protekcyjnie dłoń na ramieniu spokojnie i po ojcowsku tłumaczy na czym polega obowiązek walki z „interwentami”. Są opinie, że husarię w filmie odwzorowano niesamowicie realistycznie. Możliwe. Tyle, że nawet Stevie Wonder by zauważył, że w filmie zapomnieli rozdać husarzom koncerze...

Mamy za to rosyjskiego Waniuszę miotającego z rękawa zaostrzone podkowy lepiej niż Wojownicze Żółwie Ninja gwiazdki shuriken. Długowłosą piękność w roli sabotażystki walczącej dwoma szablami naraz niczym Nazir z serialu „Robin Hood”. Przywódcę partyzantów, który nie tylko wytrzymuje pod wodą bez powietrza dłużej niż Biały Delfin Um, ale nawet potrafi strzelać spod lustra wody z kuszy. Ba tam strzelać! Rozdzielać beltami śmierć wszystkiemu co żywe i przemyka w zasięgu wzroku. I tak dalej. I tak dalej, i tak dalej...

– postać zagrana przez Żebrowskiego – pamiętacie Domagarowa z „Ogniem i mieczem”. Z jaką pasją, werwą i ikrą stworzył postać Bohuna? Niby bohater negatywny, przez którego wszelkie niemal zło w filmie, a jednak dzięki grze osobistej oraz założeniom scenariusza – wzbudza sympatię, nadaje rytm i tempo akcji, podkreśla napięcie. W granej przez Żebrowskiego postaci hetmana „Obwisłowego” nie ma cienia podobnej magii. Przypomnijmy sobie jak zagrał Skrzetuskiego w „Ogniem i mieczem”. Jeden z krytyków napisał, że kreowany przez Żebrowskiego Skrzetuski to „Chrystus, który za wszystkich gotów z miejsca cierpieć i umierać”.

„Obwisłowy” z „1612” to dokładnie przeciwieństwo Skrzetuskiego. Taki „diabeł”, który jako pierwszy wyskoczył nam z puszki Pandory. Kwintesencja szwarczcharaktera w najczystszej postaci – gdy trzeba rąbie szablą bezbronnie kobiety, dusi własnoręcznie dzieciaki (ciekawe, że akurat on, w rzeczywistości carową Marię i carewicza Fiodora Godunowów zadusili rosyjscy bojarzy Mosalski i Golicyn). Co noc narkotyzuje więzioną przez niego carównę Ksenię środkami usypiającymi (gdzież mu tam do Domagarowa, który piękną jak bóstwo Izabelę Scorupco wielbił spojrzeniem, gestem i językiem). Ba! Szantażuje ją, używając ich córeczki jako karty przetargowej, gdy zawodzi siła polskiego oręża, a na szafocie, w obliczu pewnej śmierci kłamie jak z nut, byle by tylko pociągnąć „ukochaną” za sobą na łono Abrahama.

Nie mogę, naprawdę nie mogę się dopatrzeć w tym bohaterze niczego poza jedną, wielką wyhodowaną w toku ponad 2 godzin filmu niechęcią. Takich „świętych” to się na dawnych ikonach przedstawiało z ociekającym posoką toporem w ręku. Michał Żebrowski potwierdził w wywiadzie udzielonym podczas „Kawy i herbaty”, że „jego udział w rosyjskiej superprodukcji stanowi gwarancję na to, że film nie jest antypolski”. Tym samym zamiast narzekać, trzeba się więc cieszyć, bo strach pomyśleć co by w filmie pokazano, gdyby nie stonowana rola polskiego aktora.

Autor: *Jarosław Jabłoński*

Opublikowano 05.12.2006 r.